

»Wieczór Trzech Króli« Wiliama Szekspira

BOLESŁAW SURÓWKA

218
W myśl subtytułu sztuki, brzmiącego „...er What You Will”, czyli „albo co chcecie” — inscenizatorka i reżyserka zabrskiego „Wieczoru Trzech Króli” Maryna Broniewska zechciała, by spektakl odbywał się bez żadnych niemal dekoracji. Początkowo nawet wyglądało to wcale obiecująco. Na scenę wjeżdża mityczny „Wóz Tespisa”, ciągnięty przez, widocznie wędrownych, szesnastowiecznych aktorów, którzy po zrobieniu z niego czegoś w rodzaju estradki, przystępują, po powitaniu publiczności, do przedstawiania, perypetii bohaterów „Wieczoru”.

Ten wstęp więc był oryginalny, pomysłowy i przyjemny. Ale później zaczęło się to i owo rwać.

Brak dekoracji bowiem, brany zresztą zupełnie niesłusznie za cechę charakterystyczną teatru szekspirowskiego (sam Szekspir przecież ostro sobie z tej „cechy”, należącej notabene do poprzedniej epoki, pokpiwał, jak np. w „teatrze” Don Armada w „Straconych zachodach miłości”, czy w jeszcze sławniejszym „teatrze” Spodka w „Śnie nocy letniej”) zrobił z „Wieczoru”, komedii przecież tak pełnej humoru sytuacyjnego i rozmaitych wątków scenicznych, wymagających różnorodnej oprawy dekoracyjnej (jak np. rozbięcie się okrętu, sceny uliczne i knajpane, dwie różne sędziby władców itd.) — sztukę czysto dialogową. A tymczasem o ile te dialogi, które dotyczą wątku farsowego, obracającego się wokół figlów — mniej, lub bardziej bachlicznych — znacznej kompanii, złożonej z Czkawki, Chudogęby, Błazna, Fabiana, Marii no 1, oczywiście, Malwolia, bawią w dużym stopniu swoją treścią (ale też i konglomeratem rekwizytowo-dekoracyjnym), o tyle sprawy miłosne, podawane niemal do końca w koturnowo-melancholijnym sosie na linii Orsyno-Oliwia (ze wszystkimi przyległościami), nie są aż tak zachwycające, by się je mogło, jak to się mówi, „chłonąć pełnią duszy”. Związana, że widz musi mieć szczególnie dużą dozę wyobraźni, by brać za dobrą monetę naiwność owej pary, w żaden sposób nie mogącej rozpoznać Wiolę w przebraniu męskim.

Te wszystkie zatem dyskursy, pozabawione malowniczej oprawy dekoracyjnej (ale nie zanadto umownej!) i pewnej pompy dworskiej — bądź co bądź Wiola jest „messenger d'amour” między dwoma dworami — wyglądają jakby były tożsame „na stronie”.

A więc „Wieczór Trzech Króli” stał się w tych warunkach sztuką w dużej części „mówioną”, okraszona tylko od czasu do czasu jakimiś bardziej żywymi sytuacjami, przypominającymi widzom, iż w teatrze nie tylko się mówi, ale i gra.

Mówiono jednak i grano wcale nieźle i na ogół większość ról została tutaj odtworzona o ile nie „ponad stan”, to w każdym razie zadowalająco. Szczególnie zaś miło i sympatycznie wypadła Barbara Medwecka w kreacji Wioli, wnosząc do sta-

tycznych dialogów z Orsynem (Władysław Pawłowicz) i Oliwią (Maria Kasprowicz) wiele bardzo naturalnego wdzięku. Clou przedstawienia, jak to przystoi „Wieczorowi Trzech Króli” od wieków, stanowi rzecz jasna, sekstet farsowy, a więc w pierwszym rzędzie Jacek Medwecki jako wielce komiczny w słowie i w geście Sir Andrzej Chudogęba, a któremu rzetelnie sekundował Aleksander Rządkowski jako buńczuczny i hałaśliwy (czasami zanadto) Sir Tobiasz Czkawka, Andrzej Tyralewski jako Błazen, bardziej, prawdę powiedziawszy, filozoficzny, niż wesołkowaty, Alina Kalinowska-Zubr jako fertyczana, a zarazem wielce żywiołowa Maria, Wiktor Frończak jako wszędobylski Fabian oraz Szczepan Łyżwa jako zadufkowany do kwadratu „purytanin” Malwollo.

W pozostałych rolach wystąpili: Jerzy Kozłowski jako udany (w sensie przyjemnego wdzięku) brat Wioli Sebastian, oraz Władysław Madej jako Kapitan, przyjaciel Wioli. Inny Kapitan, przyjaciel Sebastiana, został oznaczony trzema gwiazdkami, choć spisywał się bardzo dzielnie.

Piękne kostiumy skomponowała Aleksandra Sell-Walterowa, zaś układ pojedynków był dziełem Zbigniewa Czajkowskiego. Muzyka — niestety magnetofonowa, którą imitowało „dwóch grajków”, fletista i gitarzysta — Stefana Sutkowskiego. Ale tak na dobrą sprawę szkoda, że na zakończenie nie wykonano owej słynnej tradycyjnej piosenki, śpiewanej przez Błazna w otoczeniu Chudogęby, Czkawki i Marii. Ona przecież zawsze nadaje tyle urokowi finałowi „Wieczoru”...

Starał się to jednak naprawić przynajmniej w pewnym stopniu, malowniczy odjazd „Wozu Tespisa”, również zresztą udany, jak i przyjazd.